

ności, okres mobilizacji i przetworzenia stanu pokojowego na stan wojenny.

W tym samym kierunku idą i reformy armii pod względem jej dyslokacji. Wobec tego, że w tym wypadku są one ściśle związane z naszą ojczyzną i z urządzeniem się najazdu u nas, poświęcimy temu specjalny artykuł.

J. P.

BUNT WIĘZIENNY W IRKUCKU ZE WSPOMNIENIEM

Artykuł o buncie więziennym w Irkucku stanowi jedynę wspomnienie Piłsudskiego z czasów jego syberyjskiego zesłania i z tego powodu jest niezwykle cennym źródłem biograficznym. Zamieszczony został w «Kalendarzu Robotniczym» na rok 1911, redagowanym przez Zygmunta Klemsiewicza (Kraków 1911), a napisany prawdopodobnie w końcu r. 1910.

Niewielka grupka wygnańców, złożona z dwudziestu kilku ludzi, za którymi w końcu września 1887 r.¹⁾ zamknęła się brama więzienia irkuckiego, nie cieszyła się dobrą opinią u władzy. «Buntujuszczaja partija»²⁾ — tak mówiono o niej z powodu ogona protokółów, który włókł się za nami w nudnej, trzymiesięcznej podróży po etapach syberyjskich. Protokoły były skutkiem różnych starć z oficerami — komendantami etapów i władzą więzienną w paru miejscach. Jeden z oficerów, gdzieś w gubernii Jenisiejskiej, po awanturze z nami napisał na nas donos³⁾, żeśmy wyłamali w etapie dach w celu ucieczki, co było wierutnym kłamstwem. Wyższa władza, przestraszona tą rzekomą próbą ucieczki oraz oburzona na naszą bezczelność w stosunku do owego oficera, dała depeszę do wszystkich oficerów, z którymi w drodze mieliśmy się spotkać, depeszę, nakazującą w obejściu z nami być «grzecznym, ale srogim», a w razie jakiegokolwiek oporu zakuwać nas wszystkich w łańcuchy ręczne i nożne. Ten dziwaczny okólnik stawał prawie

¹⁾ Józef Piłsudski w drodze na zesłanie syberyjskie przybył do Irkucka około 4 października. Podana przezeń data «koniec września» jest datą st. stylu, według którego Piłsudski oblicza wszystkie daty, związane z pobytem na Syberii.

²⁾ Buntująca się partia.

³⁾ Raport, doniesienie.

każdego oficera, napotkanego w drodze, na stopie wojennej względem nas — oto główny powód protokółów o różnych zajściach pomiędzy nami a oficerami etapowymi.

Muszę się jednak przyznać, że w wielu wypadkach my sami byliśmy winni przy tym lub owym zajściu. Wymagaliśmy nieraz od oficerów lub władzy więziennej rzeczy nielegalnych, takich, które stoją w sprzeczności wyraźnej z ustawą więzienną. Wymagania nasze, przed którymi niejeden z oficerów ustępował dobrowolnie, bez żadnego nacisku, wywoływały nieraz awantury, gdy się miało do czynienia z oficerem, który za nic przewodnią w stosunku z nami obrał sobie nie pierwszą, lecz drugą połowę nakazu wyższej władzy i postanowił być nie tyle «grzecznym», co «srogim». Wszystkie jednak awantury kończyły się zwykle protokołem, spisanyym z powodu zajścia w asystencji władz miejscowych.

Tak dowlekleliśmy się wreszcie do Irkucka, skąd połowa naszej grupy miała się rozjechać, a raczej być rozwieszoną pojedynczo do poblizszych punktów, wyznaczonych im jako miejsce wygnania. Reszta musiała czekać na ustalenie się drogi zimowej na rzece Lenie, po której droga prowadzi w dalsze, północne strony Syberii. Ja należałem do tej reszty, byłem bowiem naznaczony przez gubernatora irkuckiego do Kireńska, miasteczka powiatowego, leżącego o 1000 wiorst od Irkucka na północ.

Po tygodniu niewoli irkuckiej zostało nas trzynastu, przeznaczonych na Lenę. Czekać mieliśmy dosyć długo, bo droga w południowej części Leny ustanawia się na stałe dopiero w l i s t o p a d z i e i władza chciała doczekać następnych transportów wygnańców, by eksportować na Lenę od razu większą ilość ludzi. W oczekiwaniu wyjazdu rozgościliśmy się w więzieniu. Ośmiu z nas mieszkało w «sekretnym korytarzu» — w sześciu celach. Reszta — pięciu, i ja pomiędzy nimi — w osobnej, dużej celi na parterze więzienia. Cella ta była naszym klubem i jadalnym pokojem, konstytucja bowiem więzienna pozwalała nam na włączkę po więzieniu w przeciągu dnia całego bez przeszkody. Zamykano nas w celach tylko na noc — od szóstej wieczorem do szóstej rano.

Oprócz nas — trzynastu mężczyzn, w skrzydle więziennym, przeznaczonym dla kobiet, były trzy towarzyszkki, mające również w przyszłości jechać z nami na Lenę. Miały one w swym rozporządzeniu aż sześć cel w «sekretnym» korytarzu oddziału kobiecego.

Czas spływał na rozmowach o przeszłości, o warunkach wygnania, na szachach, czytaniu książek. Od czasu do

czasu wpadało do więzienia wyższe jakie «naczalstwo»¹⁾ — pułkownik żandarmerii, prokurator, policmajster, nawet sam generał-gubernator Wschodniej Syberii, hrabia Ignatjew. Każda nieledwie z tych wizyt była dla nas przykrością, każdy bowiem z tych panów uważał nasze położenie za zbyt dobre i zwracał uwagę dyrektorowi więzienia — poczciwemu, lecz słabemu człowiekowi — na konieczność rygoru więziennego. Nie brakło też i pretensyj z naszej strony.

Tak więc prokurator oberwał od nas za zatrzymywanie naszych listów przez czas dłuższy. Spostrzegliśmy, że listy od naszych krewnych i bliźnich, listy, których z takim upragnieniem oczekiwali każdy z nas, leżały u p. prokuratora tygodniami całymi, dopóki wreszcie raczono je przejrzeć i odesłać do więzienia. Oburzeni posłaliśmy wszyscy jednobrzmiące, nieco obraźliwe komunikaty swoje do prokuratora, zwracając mu uwagę na niestosowność takiego postępowania. Prokurator okropnie się obraził na nas i zaczął nastawać, by zmniejszono nasze przywileje więzienne.

Zdarzył się jednak wkrótce wypadek, który przyspieszył katastrofę, wiszącą i tak nad głową «buntowników». Jeden z naszych kolegów, niejaki Cejtlik, miał jako narzeczoną jedną z towarzyszek. Pozwolono im widywać się co dzień w kancelarii więziennej w przeciągu godziny. Otóż razu pewnego, w czasie takiego widzenia, wszedł do biura więziennego p. policmajster. Kolega C. nie zauważył go i nie powitał go ani ukłonem, ani słowem. Policmajster wpadł na niego, wymyślając mu po grubiańsku. Kolega C. nie został mu dłużnym w odpowiedziach. Policmajster rozwścieklony kazał go wsadzić na trzy dni do karceru, lecz nim wyrok został wykonany C. wyskoczył z biura i wpadł do naszej celi, opowiadając nam o tym, co zaszło.

W jednej chwili byliśmy już zebrani w naszej celi i postanowiliśmy nie pozwolić na wykonanie wyroku. Wnet przyszedł pomocnik zawiadowcy więzienia, wołając C. do karceru. Oświadczyliśmy, że nic z tego nie będzie, że nie pozwolimy na tę krzywdę. Pomocnik zawiadowcy odszedł, po chwili jednak wrócił w asystencji oficera, dowodzącego strażą wojskową w więzieniu, i piętnastu żołnierzami. Raz jeszcze zaproponowano nam wydać C. władzy więziennej i po odmowie przypuszczono szturm do nas. Oficer, dowodzący żołnierzami, widocznie jakiś porządny człowiek, nie pozwolił tym

1) przedstawiciel władzy.

razem na użycie zwykłej w takich wypadkach broni — okutej żelazem kolby karabinowej — i raz po raz krzyczał:

— Ostrożnie, chłopcy, karabinami nie ruszać, brać rękami!

Po chwili, jak oficer, tak pomocnik zawiadowcy, którym najwidoczniej się chciało uniknąć grubszej awantury, zaprzestali ataku i jeszcze raz spisano wobec nas protokół o niegrzecznym naszym zachowaniu się. Po spisaniu protokołu oficer uklonił się nam i wyszedł razem z żołnierzami z celi. Usunął się też i pomocnik zawiadowcy.

Dzień ten skończył się bez żadnych przygód. Widocznie i policmajster nie odważał się robić większej awantury bez wyraźnego pozwolenia na to wyższej władzy. Prawdopodobnie więc tego wieczoru udał się po pełnomocnictwa i wskazówki do Ignatjewa.

Nazajutrz rano — było to 20 października starego stylu¹⁾ — według zwyczaju otworzono nam drzwi we wszystkich celach, przez nas zajmowanych. O tej rannej porze spaliliśmy wszyscy, z wyjątkiem jednego tylko kolegi w naszej dużej celi, Daniłowa, człowieka starszego od nas, młokosów, który zwykł był stawać o szóstej rano. Nie minęło jednak godziny, gdy przyszedł od policmajstra rozkaz zastosowania względem nas całej surowości ustawy więziennej, która wymaga, by więźniowie cały czas byli zamknięci w celach i wypuszczani jedynie na określony, zwykle półgodzinny, spacer.

Zgodnie z rozkazem policmajstra, dozorca więzienny zamknął wszystkie cele w korytarzu «sekretnym». W naszej jednak dużej celi przeszkodził mu w tym kolega Daniłow, któremu zresztą dozorca nie stawiał oporu, bo sam nie rozumiał powodu tej nagłej zmiany i przypuszczał, że zaszła jakaś omyłka. Wszystko było w porządku, nim nareszcie nie obudzili się koledzy w «sekretnym» korytarzu, o których my w dużej celi nie wiedzieliśmy. Krzyki kolegów z «sekretnego» korytarza wywołały nas na podwórze.

— Zamknięto nas! — krzyczeli nam przez okno — wołamy na dozorcę, by otworzył, nie chce!

Zaczęła się narada. Ogólne mniemanie było takie, że prawdopodobnie w ten sposób chciano nas rozdzielić, by łatwiej można było wykonać wyrok karceru na Cejtlinie.

Teraz, gdy sobie uprzytamniam ową chwilę, gdy doświadczenie i wiek wytworzyły w mych żyłach sporą dozę chłodnej krwi, rozumiem, że przede wszystkim należało poro-

¹⁾ 1 listopada.

zumieć się z zawiadowcą więzienia, z którym paktowanie było możliwe i prawdopodobnie doprowadziłoby do jakiegoś kompromisu. Lecz wówczas nie chcieliśmy rozumować. Rozzuchwaleni tyłu utarczkami z władzą, postanowiliśmy wyłamać drzwi w celach naszych kolegów i oswobodzić ich z zamknięcia siłą.

Uzbrojeni w drągi i pałki, wpadliśmy na korytarz «sekretny». Dozorca z pałaszem i rewolwerem flegmatycznie przechadzał się po korytarzu, paląc fajkę.

— Otwórz! — zawołaliśmy na niego, — bo będziemy łamać drzwi!

— Kazano — odparł — zamknąłem. A mnie co, drzwi — rzecz skarbowa, nie moja. Łamcie, sami za to odpowiecie.

I najspokojniej w świecie kontynuował przechadzkę po korytarzu, uśmiechając się ironicznie na naszą pracę koło pierwszych z brzegu drzwi «sekretnych». Jednak praca nasza trwała dosyć krótko. Zamek, wiszący u drzwi i utrzymujący żelazną sztabę, stanowiący główną zaporę, nie wytrzymał nacisku pięciu par silnych rąk, pękł i drzwi się otworzyły. Następne cztery cele zostały w jednej chwili otwarte tym samym sposobem. Zatrzymaliśmy się dopiero przy szóstej celi, która miała zamek wewnętrzny — wszystkie nasze usiłowania były nadaremne: drzwi nie poddawały się naszemu naciskowi.

Otoczyliśmy znowu dozorcę, wymagając, by drzwi otworzył. Wahał się, lecz, gdy zagroziliśmy mu, że przemocą odbierzemy od niego klucze, ustąpił i ostatnie drzwi nie zostały uszkodzone. Zabawny był to widok. Przedstawiciel władzy, dozorca z fajką w gębie, oglądał zakłopotany niezwykle spustoszenie: wygięte sztaby, złamane zamki. My staliśmy spoceni, triumfujący, rozradowani i rozśmieszeni zarazem tak łatwym i tak oryginalnym zwycięstwem. Wreszcie nie było tu co robić, wyszliśmy na podwórze w podskokach, gwarni i weseli.

Dzień cały minął i nikt nas nie zaczepił. Zdawałoby się mogło, że o nas zapomniano. Władza więzienna do nas się nie zgłaszała wcale, a gdy przyszła szósta godzina wieczorem, nikt nas do cel nie zapędzał. Zostawiono nas w spokoju. To nas zastanowiło — czy nie jest to cisza przed burzą? Zebraliśmy się wszyscy w naszej dużej celi — w naszym klubie na naradę. Ogólne zdanie było takie, że władza będzie zmuszona coś przedsięwziąć, że zaś nic dobrego wróżyć nie można było z dotychczasowej beczynności władzy więziennej, postanowiliśmy na wszelki wypadek nie rozchodzić się do cel i czekać tu w kupie dalszego losu. Gdyśmy obradowali, usłyszeliśmy za

sobą trzask zamykanych drzwi: któryś z dozorców podkradł się i zamknął nas w klubie.

Niepokój nasz zaczął wzrastać. Przez zakratowane okno nic nie było widać. Słyszeliśmy tylko jakieś szybkie, lecz ciężkie kroki na podwórzu. Po pewnym czasie do uszu naszych doleciał krzyk niewieści. Poznaliśmy głos jednej z naszych towarzyszek. Co ona krzyczała, o czym zawiadamiała nas, nie mogliśmy zrozumieć. Widocznym jednak było, że nasze koleżanki gdzieś były przenoszone, gdyż krzyk i odgłos kroków wskazywał na kierunek ruchu — od skrzydła kobiecego do bramy więziennej.

Rzuciliśmy się wszyscy do drzwi, chcąc je wyłamać, lecz usłyszeliśmy liczne kroki, zbliżające się do naszej celi. Drzwi z trzaskiem się otworzyły. Na progu błysły bagnety i lufy karabinów. Na środek pokoju pędem wpadło z dziesięciu żołnierzy z nastawionymi w naszym kierunku bagnetami. Za nimi wszedł policmajster w otoczeniu oficera, dowodzącego żołnierzami, i władzy więziennej.

— Panowie, — zwrócił się do nas policmajster — musicie państwo być przeniesieni do innej części więzienia; ta cela nam jest potrzebna.

— Zgoda! — odpowiedział na to nasz starosta, wybierany zwykle w partiach wygnańców dla prowadzenia wspólnej gospodarki i pertraktacyj z władzami, — zgoda. Nam jest wszystko jedno, tu czy gdzie indziej. Żądamy tylko, by pan nam przyrzekł, że nasze warunki życiowe nie będą pogorszone, że będziemy korzystali z tych samych swobód, jakieśmy mieli dotąd.

— Nie mogę wchodzić w żadne umowy z panami, — odparł policmajster, podnosząc głos, — jesteście więźniami, my jesteśmy władzą. Waszą rzeczą jest słuchać i być posłusznym rozkazom władzy.

Rozpoczęła się krótka kłótnia. Żądaliśmy stanowczo określenia warunków naszej przyszłej niewoli. Policmajster widocznie się wściekał.

— Nie chcecie panowie mnie słuchać, — zawołał — posłuchacie czego innego. P. poruczniku, — zwrócił się do oficera — rób pan, co panu kazano!

Porucznik wyjął pałasz i huknął na żołnierzy:

— *Biej ich, rebiata! Cztob dołgo pomnili!*¹⁾.

Żołnierze, jak wściekle wilki, rzucili się ku nam z pod-

¹⁾ Bijcie ich, chłopcy, by długo pamiętali.

niesionymi karabinami. Byliśmy skupieni w kącie między piecem i ścianą, ja stałem w pierwszych szeregach. Podniosłem oczy, nade mną była kolba karabinowa. Odsunąłem ją ręką, kolba ześlizgnęła się po czole, lecz w tej chwili otrzymałem kolejne uderzenie kolbą po drugiej stronie głowy, potem drugie, trzecie... Krew zalała mi oczy, zachwiałem się na nogach, w głowie mi się zakręciło... Upadłem. W chwili, gdy się przewracał, żołnierze odskoczyli od nas — był to efekt rzuconej z tylnych naszych szeregów poduszki, która upadła tuż przy mnie. Po chwili zemdlałem, słysząc jeszcze na razie jakiś jęk, nie wiem już, czy z moich, czy innego kolegi ust wydarty.

Co dalej było, nie widziałem. Jak mi opowiadał potem jeden z kolegów, z pomiędzy nas trzynastu trzech tylko pozostało na nogach do końca, reszta pomdlała pod uderzeniami kolb żołdackich. Wyciągano nas po kolei z celi na podwórze. Co do mnie, ocknąłem się w objęciach dwóch żołnierzy, którzy już na podwórzu próbowali stawiać mnie na nogi. Przeszedłem do przytomności, lecz nie bardzo rozumiałem, co wokół mnie się dzieje. Instynktownym ruchem wyrwałem się z rąk żołnierzy i pobiegłem przed siebie. Wpadłem pod bramę więzienną, gdzie ujrzałem cały szereg żołnierzy z karabinami w ręku. Podoficer, który stał przed szeregiem, otworzył ramiona i chwycił mnie. Nogi pode mną się ugiwały i osuwałem się na ręce tegoż chłopca, który mnie złapał. W tej chwili dopadł do mnie jeden z żołnierzy, od których przed chwilą się wyrwałem, i uderzył mnie kolbą w twarz. Krew z nosa i ust buchnęła mi na twarz i odzienie. Oburzyło to widocznie podoficera.

— Durak! — usłyszałem nad sobą — nie widzisz, że chłopiec na nogach nie stoi?!

Żołnierz widocznie się zażenował. Szorstkim rękawem szynelu¹⁾ starał się otrzeć mi twarz, naturalnie, rozmazując krew jeszcze bardziej. Wreszcie na rozkaz podoficera wziął mnie pod ramię i poprowadził za innymi. Prowadzono nas na kobiecy oddział, skąd świeżo wywieziono nasze koleżanki. W głowie mi huczało, szedłem krokiem niepewnym, na pół omdlały; dusiła mnie bezsilna złość, a gorycz grubiańsko zdeptanej godności osobistej dławiła mi gardło. Słyszałem wokół brutalne słowa żołdaków, podpędzających mych kolegów, słyszałem głucho dźwięki uderzeń. Mój żołnierz po naganie podoficera zachowywał się grzecznie. Silnym ramieniem podtrzymywał moje niepewne kroki i raz po raz powtarzał:

¹⁾ Szynel — płaszcz.

— *Nu, warnaczok *) idź! Wisz! Nie buntuj! Osłab, biednyj!*¹⁾.

Wepchnięto mnie wreszcie do celi, gdzie już zastałem kolegę, leżącego na podłodze. Drzwi za mną zamknęły się natychmiast. Byłem ostatnim, wprowadzonym do kobiecego oddziału, i zaraz po zamknięciu drzwi zaległa w naszym korytarzu cisza. Kroki oddalających się żołnierzy milkły w podwórzu.

W celi było ciemno, słyszałem tylko ciężki oddech leżącego na podłodze kolegi.

— Który to z was? — zapytałem.

— Ach! To wy, pan, — z jękiem odpowiedział mi kolega, który mię poznał po głosie i tytułował zwykłym dla Polaków przezwiskiem «pan». Jeden z tych diabłów na pożegnanie poczęstował mię w bok kolbą, ledwie dyszę. A z wami co? Widziałem, że upadliście przy początku awantury.

— Gnatów mi nie połamali — mówiłem, — ale okrwa-wili, jak nieboskie stworzenie; dotąd mi z gęby krew cieknie. Musimy ładnie wyglądać! Cholera! — zacząłem już łąać po polsku — żebyć to choć siekiera lub bodaj porządna pałka w garści była. A to poduszka!

Po chwili przyszedł drżący, jak liść osinowy, zawiadowca i doktor. Przyszli obejrzeć, czy nie ma poważniejszych uszkodzeń, wymagających opatrunku.

— Co panu? — zawołał doktor, świecąc mi latarką w oczy — pan cały we krwi!

— Idźcie do diabła! — zawołał nagle kolega, wyprostowując się groźnie — a był to potężny mężczyzna — jeszcze pa-trzeć przyszli, czy dobrze swe barbarzyństwo wykonali!

— Precz, precz! — zawołałem i ja, zaciskając kulaki.

Doktor wyszedł, słyszeliśmy, że obchodził resztę kolegów, — dochodziły nas podniesione, zirytowane ich głosy. I znowu cisza. A nagle krzyk:

— Panowie! Czy wszyscy są tutaj?! — rozległo się z kó-rejś celi.

Obliczyliśmy, że wszystkie sześć cel są zajęte, lecz jest nas tylko dziesięciu — trzech brakowało. Nie było Daniłowa, nie było Cejtlina i jeszcze jednego. Gdzie oni być mogą? Może ich zatłukli, może wsadzono ich zbitych do karceru. Minęła noc na naradach, co wobec tego robić wypada. Postanowi-

*) Ludność sybirską dla zesłańców wszelkiej kategorii ma nazwę pogardliwą «warnák». Natomiast przybysze zowią Sybiraków — czal-donami.

¹⁾ No, warnaczku, idź! Widzisz! Nie buntuj się! Osłabieś biedaku!

Nerwi 3/III 911.

Kochany i drągi Wujaszku

Sto wrem doprawty ja do grovai
draziemu Wujaszku za tykawa ja
noje o umie, leu bardziej z em gres
sue leu stwa do p.dania lrtis cudno-
wiei na nig nie zasduyjt. Stiech
mi jidreu Kochany leu wieny, ze
bardziej wimg w tem jost gsu nie
umyjt i serce. Tutaj nieraw porowny
wngaj salety i ste Strony Nerwi i Abt.
zii - do edych rationalizmy brax sasiedzt
Louvray i mibejo a serdecznego towa
rystwa, stozimny znajdowali w Villi
Centrale. Z wielka przyjemnoscią wycy-
ladem o liceu Wujaszku, ze wieindy sij
edana in Wujaszku wycyadi w spacer,
gry umie teje w byto i leu gowis
Ldrowia moeno nig wiespryjt. Co.

liśmy ogłosić bunt głodowy, dopóki nam nie przyprowadzą kolegów.

Gdy nazajutrz rano przyniesiono nam rzeczy z dawnych cel. Gdy nas wypuszczono na korytarz i mogliśmy się obejrzieć wzajemnie, spostrzegliśmy, jak strasznie byliśmy zmaltretowani. Okrwawieni, opuchnięci, potłuczeni, z palącymi się od gorączki oczami wyglądaliśmy, jak świeżo przytransportowani z placu boju żołnierze. Wszyscy drżeliśmy z oburzenia i zaciśkamiśmy zęby z wściekłości, co nas dusiła, lecz nade wszystkim górowała kwestia, gdzie są ci, których pomiędzy nami nie było?

Zażądaliśmy zaraz papieru i atramentu. Napisaliśmy do władzy komunikat, ogłaszający, że od dzisiaj rozpoczynamy się głodzić i nie będziemy przyjmowali pokarmu dopóty, dopóki nam nie przyprowadzą naszych kolegów lub nie przyniosą własnoręcznie przez nich napisanych listów do nas. Pomocnik zawiadowcy biegał od jednego do drugiego, upraszając nas, byśmy tego nie robili. Mówił nam, że owych trzech kolegów zaprowadzili do cyrkułów policyjnych, że im się nic złego nie stało. Byliśmy niewzruszeni.

Pamiętnym mi jest to głodzenie się. Pierwszego dnia kurczyło w żołądku okropnie i głód pod wieczór doskwierał nieznośnie. Nazajutrz jednak i trzeciego dnia żołądek przypominał o swych prawach jedynie w porach, gdy przy normalnym biegu rzeczy otrzymywał należną mu daninę. Zresztą oparowała mię na trzeci dzień słabość i pewne znieczulenie, byłem ciągle drzemającym. Pod wieczór tego trzeciego dnia przyprowadzono nam dwóch kolegów, którzy zarazem przynieśli nam wiadomość, że trzeciego, mianowicie Daniłowa, widzieli na własne oczy i że wywieziono go na miejsce wygnania. Ogłosiliśmy więc, że przestajemy głodzić się, i poczciwy zawiadowca wbrew ustawie więziennej pozwolił nam po szóstej wieczorem zgotować sobie obiad i herbatę. A nazajutrz, gdyśmy już wpadli w doskonały humor i z apetytem zajadali obiad, przyniesiono nam papier od p. prokuratora, który nam groził sztucznym karmieniem, gdybyśmy się ośmielili nadal wyrażać swój protest głodzeniem się.

Tak się zakończył nasz bunt irkucki. Po tym buncie mieliśmy święte życie. Żadne «naczelstwo» nam nie dokuczało — bało się zaglądać na nasze podwórko. Natomiast mieliśmy swobodę zupełną na naszym terytorium, w dawnym kobiecym skrzydle więzienia. Nie zamykano nas nawet na noc. A gdy przyszły świeże partie wygnańców, pomieszczono je w dawnych naszych kwaterach — rozbitych przez nas celach «sekretnych». Lecz nie przeszkadzano nam odgrywać rolę gościn-

nych gospodarzy i zapraszać nowych kolegów na obiady i kolacje «buntowników».

Swoją drogą, za awanturę 20 października ¹⁾ pociągnięto nas do odpowiedzialności sądowej. Prokurator oskarżał nas nie mniej nie więcej, jak o «zbrojny opór władzy więziennej» — to jest o przestępstwo, za które prawo wysyła ludzi na katorgę.

Nie wiem, jak prokurator udowodniał na sądzie «zbrojność» naszego oporu, bośmy wszyscy stanowczo odmówili udziału w komedii sądowej i zrzekli się wszelkiej obrony. Sąd jednak nie zgodził się z żądaniem prokuratora i zastosował do nas możliwie łagodną karę: skazał wszystkich na pół roku, a mnie i dwóch jeszcze kolegów, jako niepełnoletnich, na trzy miesiące więzienia. Prokurator, niezadowolony z wyroku, apelował do senatu.

W tydzień po sądzie — 1 grudnia ²⁾ — wyruszyliśmy na Lenę i dopiero w rok potem otrzymałem wyrok senatu, który w swej łaskawości podwoił nam karę, skazując mnie na półroczne więzienie. Odbyłem je w Kireńsku, na miejscu mego wygnania.

Ten bunt irkucki, o którym teraz wspominam, jako o drobnostce, długo był mi pamiętnym. Przez pewien czas nie mogłem obojętnie patrzeć na żołnierza, na mundur, — czułem, że mi się pięści zaciskają, a nieraz, gdym zamykał oczy, widziałem przed sobą pełen grozy obraz dzikiego ataku uzbrojonego tłumu żołdaków na bezbronną garstkę ludzi, skupioną w kąciuku.

LIST DO STANISŁAWA WITKIEWICZA

W styczniu r. 1911 Józef Piłsudski wyjechał na kilkutygodniowy pobyt do Włoch, do miejscowości Nervi, skąd przez Szwajcarię wrócił do kraju w pierwszej połowie marca. Zamieszczony poniżej list, pisany do Stanisława Witkiewicza, znakomitego pisarza i malarza, skuzynowanego z Piłsudskim (stąd zwrot: wujaszku), wydrukowany został po raz pierwszy w książce Marii Witkiewiczówny, wydanej w r. 1936 p. t. «Wspomnienia o Stanisławie Witkiewiczu» (Warszawa 1936).

Nervi, 3. 3. 1911 r.

Kochany, drogi Wujaszku!

Nie wiem doprawdy jak dziękować drogiemu Wujaszkowi za łaskawą pamięć o mnie, tym bardziej żem przez swe

¹⁾ 1 listopada (nowego stylu).

²⁾ 13 grudnia (nowego stylu).